

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

# NORA ROBERTS

KLAN O'HURLEYÓW

W BLASKU  
REFLEKTORÓW

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

**W BLASKU  
REFLEKTORÓW**



NORA  
ROBERTS  
W BLASKU  
REFLEKTORÓW

Przełożyła:  
Maja Gottesman



Tytuły oryginałów:  
*Dance to the Piper, The Last Honest Woman*

Pierwsze wydanie:  
*Harlequin Books S.A., 1998*

Redaktor prowadzący:  
*Grażyna Ordęga*

Korekta:  
*Joanna Habiera*

© 2008 by Harlequin Books S.A.

© 1998 by Nora Roberts

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2002, 2005, 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Poprzednio powieści ukazały się pod tytułami *Ostatnia uczciwa kobieta* i *Za kulisami*

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8117-9

Nora Roberts

# **Kłamstwa i tajemnice**

Przełożyła  
Maja Gottesman





## PROLOG

– Może pani krzyczeć, jeśli to pani pomoże.

Oddech miała przyspieszony, urywany. Pot spływał jej z czoła, rękami mocno chwyciła się za poręcze łóżka.

– Molly O’Hurley nie wita swych dzieci na tym świecie krzykiem – odparła.

Była dość drobnej budowy, lecz głos miała donośny. Jego melodyjne dźwięki dotarły do odległych zakątków dużej sali porodowej. Zaledwie przed paroma minutami przywiózł ją tu mąż, w ostatnim stadium porodu. Nie było czasu na przygotowanie ani na potrzymanie za rękę i słowa pociechy. Lekarz dyżurny tylko na nią spojrzal i w ubraniu kazał natychmiast zawieźć na salę.

Większość kobiet na jej miejscu by się bała. W nieznanym mieście, wśród obcych, zdana wraz ze spieszącym się na ten świat maleństwem całkowicie na ich łaskę. Ona też czuła strach, ale za nic by się do tego nie przyznała.

– Twarda z pani kobieta, co? – Położnik dał znak pielęgniarce, by otarła jej czoło. W sali było wyjątkowo duszno i gorąco.

– Wszyscy O’Hurleyowie są twardzi – zdołała od-

powiedzieć, choć prawdę mówiąc, miała ochotę krzy-  
czeć. Ból był nie do wytrzymania. Dziecko rodziło się  
wcześniej niż powinno. Oby nie za wcześnie. Skurcze  
były tak częste, że odbierała je jako jeden wielki ból.

– Gdyby pani pociąg spóźnił się o te pięć minut,  
urodziłaby pani w przedziale. No, jeszcze niech pani  
trochę pooddycha.

Przeklęła go z wprawą, jakiej nabyła w ciągu siedmiu  
lat życia ze swym Francisem, i kolejnych siedmiu lat  
występów w klubach ponurych miasteczek od Los An-  
geles w Kalifornii po góry Catskills w stanie Nowy Jork.  
Lekarz uśmiechnął się tylko i patrzył, jak posłusznie  
wypełnia jego polecenie.

– No, dość, wystarczy. Teraz niech pani prze. Raz,  
a dobrze.

– Już ja panu pokażę! – wystękała, lecz zastosowała  
się do jego polecenia. Po chwili w sali porodowej rozległ  
się cichy płacz maleństwa.

– Dziewczynka.

Opadła na poduszki, z oczu popłynęły jej łzy. Dziew-  
czynka. Udało się. Francis będzie dumny.

– Nawet nie musiałem dawać jej klapsa – zauważył  
lekarz. – Nieduża, ale zgrabniutka.

– Pewnie. A te płuca! Taki głos bez mikrofonu dotrze  
do najdalszych rzędów. Parę tygodni przed czasem, ale...  
O Boże!

Kiedy jej ciało przeszył ból, Molly aż usiadła.

– Proszę ją wziąć. – Lekarz podał maleństwo pielęgniarce, a drugiej kazał chwycić Molly za ramiona.  
– Zdaje się, że pani córka ma towarzystwo.

– Jeszcze jedno? – Mimo bólu Molly udało się  
uśmiechnąć, i to wcale nie histerycznie. – A niech cię,  
Frank. Zawsze wykręcisz mi jakiś numer.

Spacerujący sprężystym krokiem po poczekalni mężczyzna po raz piąty w ciągu ostatnich trzech minut spojrzął na zegarek. Siedzenie nie było w jego stylu. Jeśli akurat nie tańczył, to przynajmniej chodził. Był szczupły i energiczny, o optymistycznym spojrzeniu. Od czasu do czasu gładził po głowie siedzącego na krześle chłopczyka.

– Trace, twój braciszek albo siostrzyczka jest już pewnie na tym świecie. Na pewno zaraz ktoś tu do nas wyjdzie.

– Jestem zmęczony, tato.

– Zmęczony? – Mężczyzna roześmiał się i chwycił synka w ramiona. – Nie czas teraz na sen, chłopcze. To ważna chwila. Rodzi się kolejny O’Hurley. Mamy premierę.

Trace oparł głowę o ramię ojca.

– Nie zdążyliśmy do teatru.

– Nie szkodzi. To nie ostatni nasz wieczór.

Właściwie tylko przez chwilę żałował odwołanego występu. Przecież nawet w Duluth są jakieś kluby. Zanim znów ruszą w drogę, może uda im się raz czy dwa gdzieś wystąpić. Urodził się, by bawić ludzi, śpiewać i tańczyć, i dziękował gwiazdom, że Molly jest taka sama. To prawda, że nie zarabiają wiele w ciągłym objeździe po drugorzędnych zadymionych knajpkach, ale przyjdzie jeszcze ich czas.

– Zanim się zorientujesz, zobaczysz plakaty Wielkiej Czwórki O’Hurleyów. Nikt nas nie powstrzyma.

– Nikt nas nie powstrzyma – powtórzył jak echo chłopczyk to, co słyszał chyba codziennie.

– Pan O’Hurley?

Frank przystanął. Objął mocniej synka i spojrzął na lekarza. Był przecież tylko mężczyzną i zupełnie nie znał się na porodach.

– Tak, to ja. – W gardle mu zaschło, chyba nawet się jąkał. – Jak Molly? Co z nią?

– Pańska żona to wspaniała kobieta – uśmiechnął się lekarz.

Frank z pełną radości ulgą aż pocałował synka.

– Słyszałeś, chłopcze? Twoja mama jest super. A dziecko? Wiem, że trochę się pospieszyło, ale jak ono?

– Silne i piękne – zaczął lekarz. – Każde z nich.

– Silne i piękne. – Frank nie posiadał się z radości.

– Molly wie, jak rodzić dzieci. Czasem może myli krok, ale zawsze wychodzi zwycięsko. Czyż to nie... – Urwał i dopiero teraz popatrzył na uśmiechniętego od ucha do ucha lekarza. – Każde z nich?

– To pański syn?

– Tak, to Trace. Co to znaczy: każde z nich?

– Panie O’Hurley, pański syn ma trzy siostry.

– Trzy... – Nie wypuszczając Trace’a z objęć, Frank opadł na krzesło. Jego nogi tancerza tym razem go zawiodły. – Trzy. Trzy naraz?

– W odstępie kilku minut, ale w sumie trzy.

Przez chwilę siedział bez słowa. Trzy. A on nie wiedział nawet, czy uda im się wykarmić jedno. Trzy. Same dziewczynki. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, wybuchnął śmiechem. Los przyniósł mu w darze trzy córki. Francis O’Hurley nigdy nie przeklinał losu, lecz ze spokojem przyjmował wszystko, co mu przynosił.

– Słyszałeś, synu? Nasza mamusia za tymi drzwiami sprokurowała trojaczki. Trzy dziewczynki w cenie jednej. A ja zawsze lubiłem dobre okazje. – Frank zerwał się na nogi i mocno uściśnął dłoń lekarza. – Niech pana Bóg błogosławi. Na całym świecie nie ma dziś szczęśliwszego człowieka niż Francis Xavier O’Hurley.

– Moje gratulacje.

- Ma pan żonę?
- Tak.
- Jak ma na imię?
- Abigail.
- To tak właśnie nazwiemy jedną z małych. Kiedy będę mógł zobaczyć rodzinę?
- Za parę minut. Poproszę, żeby któraś z pielęgniarek zajęła się pańskim synem.
- O, nie. – Frank chwycił Trace’a za rękę. – Pójdzie ze mną. Nie co dzień chłopakowi rodzą się trzy siostry. Lekarz nawet nie próbował go przekonywać.
- Jest pan tak samo uparty jak pańska żona.
- To ja ją tego nauczyłem – odparł z dumą Frank.
- Proszę za mną.
- Najpierw zobaczył je przez szybę. Trzy maleńkie istotki w inkubatorach. Dwie spały, trzecia popłakiwała.
- Daje znać światu, że już tu jest. No, Trace, patrz, to twoje siostry.
- Trace, rozbudzony na dobre i nastawiony do wszystkiego sceptycznie, przyglądał im się uważnie.
- Jakieś takie pomarszczone...
- Ty też taki byleś, mądralo. – W oczach Franka pojawiły się łzy. Jak prawdziwy Irlandczyk, wcale ich się nie wstydził. – Będę o was dbał najlepiej jak umiem. O wszystkie trzy.
- Miał nadzieję, że to wystarczy.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiedziała, że nie będzie to zwykły dzień. Teraz, gdy decyzja została już podjęta, nieprędko wszystko wróci do normalnej, codziennej rutyny. Mogła się tylko pocieszać, że robi to, co należy.

W cichej, pachnącej zwierzętami stajni Abby osiodłała konia. Może nie powinna kraść tych paru chwil wytchnienia, ale bardzo ich potrzebowała. Samotnie spędzona godzina, z dala od domu, od obowiązków, wydawała jej się cudownym luksusem.

Zawahała się jeszcze raz, potem zdecydowanie potrząsnęła głową. Skoro już postanowiła ukraść ten czas, to trzeba go wykorzystać jak najprzyjemniej. Pomyślała sobie, że coś takiego mógłby powiedzieć jej ojciec, i wybuchnęła śmiechem. Zresztą jeśli pan Jorgensen naprawdę chce kupić to źrebię, to zadzwoni jeszcze raz. Czekał od dawna na zapłacenie rachunki mogą poczekać. Zajmie się nimi później. Teraz miała ochotę na szybką przejażdżkę konną przed siebie.

– Jedziemy, Judd. – Z wprawą wskoczyła na siodło i ruszyła na południe.

W błocie i topniejącym śniegu o szybkiej jeździe nie mogło być mowy. Było chłodno i wilgotno, lecz Abby

była w pełnym oczekiwania nastroju. Coś zaczyna się zmieniać... Czego więcej można chcieć? Prowadziła konia szybkim krokiem w stronę czegoś, co zawsze wydawało się poza jej zasięgiem. Ku wolności.

Może zgoda na wywiad do tej książki będzie właśnie pierwszym krokiem. Taką miała nadzieję. Ale i wątpliwości, które nie opuszczały jej ani na chwilę. Co jest dobre, co złe, jakie będą konsekwencje? A odpowiedź – Iność poniesie tylko i wyłącznie ona.

Jechała po polach, które kochała, ale których nigdy tak do końca nie uważała za własne. Leżący na pastwiskach śnieg wyraźnie topniał. Za jakiś miesiąc źrebię będzie się bawić na świeżej trawie. Wyrosną zboża i może w tym roku wreszcie jej finanse zaczną przedstawiać się choć trochę mniej czarno.

Chuck na pewno by się tym nie martwił. Nigdy nie myślał o jutrze. Wyłącznie o następnej, najbliższej chwili. Wiedziała, czemu kupił tę ziemię w rolniczej Wirginii. Może zawsze to wiedziała. Wtedy jednak ów wynikający z poczucia winy gest uznała za oznakę nadziei. I tylko dzięki tej nadziei wytrzymała aż osiem lat.

Chuck kupił tę ziemię, a potem spędził na niej w sumie zaledwie kilka tygodni. Był zbyt niespokojny, by siedzieć i patrzeć, jak trawa rośnie. Niespokojny, nieostrożny i samolubny, taki właśnie był. Wiedziała o tym jeszcze przed ślubem. Może właśnie dlatego za niego wyszła. Przecież wcale nie udawał kogoś innego. To ona widziała to, co widzieć chciała. Zjawił się w jej życiu jak kometa, a ona, oślepiąca, podążyła za nim.

Osiemnastoletnia Abigail O'Hurley była oszołomiona i podniecona miłością, jaką obdarzył ją Chuck Rockwell. Był znakomitym kierowcą, zwycięzcą torów całego świata i jego nazwisko widniało na pierwszych stronach

gazet. Był też zdobywcą ogromnej liczby kobiet i jego nazwisko pojawiło się na pierwszych stronach brukowców. Młodziutka Abigail brukowców jednak nie czytywała.

Wciągnął ją w wir swego życia w Miami i oczarował. Obiecywał ciekawe, życie pełne wrażeń. Zabawne i wolne od odpowiedzialności. Zanim zdążyła zaczerpnąć tchu, była już jego żoną.

Choć zaczął padać lekki kapuśniaczek, Abigail zatrzymała konia. Deszcz jej nie przeszkadzał. Dawał coś, czego tego ranka bardzo potrzebowała. Odosobnienie. Wiedziała, że to objaw tchórzostwa, ale nigdy nie uważała się za odważną. Najważniejsze jest przetrwać. O to starała się do tej pory i tak będzie dalej.

Kiedy Judd niecierpliwie parsknął, poklepała go uspokajająco po szyi. Wokoło było tak pięknie. Poznała Monte Carlo, Londyn, Paryż i Bonn, ale wciąż, po pięciu latach codziennego życia i ciężkiej pracy od świtu do nocy, uważała, że to najpiękniejszy zakątek na świecie.

Wiedziała, że deszcz spowoduje, iż przecinające jej posiadłość drogi staną się nieprzejezdne, a jeśli temperatura spadnie poniżej zera, wszystko pokryje się warstwą lodu. Mimo to uwielbiała tę ziemię. Za nią była Chuckowi wdzięczna. Ale to nie wszystko.

Był jej mężem. Teraz została wdową. Zanim spłonął w rozbitym samochodzie, bardzo ją zranił, ale zostawił jej to, co było dla niej najważniejsze w życiu – synów.

To dla nich zgodziła się w końcu na przyjazd tego pisarza. Przez ponad cztery lata odrzucała wszelkie tego typu propozycje. Nie przeszkodziło to w ukazaniu się nieautoryzowanej biografii Chucka Rockwella ani różnym historiom wciąż pojawiającym się w prasie. Po miesiącach namysłu Abby doszła w końcu do wniosku, że jeśli



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).